

William J. O`Malley SJ

ZARADŹ
memu
niedowiarstwu

Przekład
Tomasz Dzikowski

Wydawnictwo WAM
Kraków 2010

Tytuł oryginału
HELP MY UNBELIEF

Copyright © 2008 by William J. O'Malley

Published by Orbis Books, Maryknoll, New York 10545-0308

© Wydawnictwo WAM, 2010

Redakcja
Małgorzata Zając

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-7505-479-8

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Spis treści

WPROWADZENIE:

REFLEKSJA NAD PEWNIKAMI	7
1. POTRZEBA PEWNOŚCI	15
CZYJĄ PRAWDA?	18
POZYTYWIZM	24
DWA DOPEŁNIAJĄCE SIĘ SPOSOBY POZNANIA	29
CNOTA WĄTPIENIA	33
TOLERANCJA NIEJEDNOZNACZNOŚCI	34
2. UCIEKINIERZY OD SIEBIE SAMYCH	39
POTENCJALNIE LUDZKI	49
DUSZA LUDZKA	51
SZCZĘŚCIE	54
DOSKONAŁOŚĆ	56
WOLNOŚĆ	56
ŚWIADOMOŚĆ	59
DUCH LUDZKI	60
3. UCZUCIE „BYCIA W DOMU”	65
MITY: HISTORIE SYMBOLICZNE	68
OPUŚCIĆ DOM, ABY ZNALEŻĆ DOM	77
4. BIBLIA A MIT	79
NIENAOCZNE ŚWIADECTWO	84
TRUDNOŚCI PÓŹNIEJSZEGO ROZUMIENIA	85
TRUDNOŚCI PÓŹNIEJSZYCH PYTAŃ	86
„WSZYSTKIE TE WYMYŚLONE HISTORIE”	87
5. MIT CHRZEŚCIJAŃSTWA	91
CZYM CHRZEŚCIJAŃSTWO NIE JEST	91
CZYM JEST BYCIE CHRZEŚCIJANINEM?	95
PYTANIE PIERWSZE: CO JEST ZŁE?	97

PYTANIE DRUGIE: JAK BYĆ POWINNO?	100
PYTANIE TRZECIE: JAK SPRAWY POWINNY SIĘ TOCZYĆ W SPOSÓB WŁAŚCIWY?	112
6. KOŚCIÓŁ NIEDOSKONAŁY	117
SAMOTNY CHRZEŚCIJANIN	119
DLACZEGO KATOLICKI?	120
WEWNĘTRZNE KONFLIKTY	124
CASTA MERETRIX	126
KWESTIA KONTROLI URODZEŃ	127
INNE NEWRALGICZNE KWESTIE	132
PRYMAT SUMIENIA	139
7. LECZ NAUKA MÓWI	143
CZAS I PRZYPADEK	147
BÓG, KTÓRY UMNIEJSZA?	149
BÓG JAKO PRZYCZYNA	151
BRAKUJĄCE OGNIWO W ATEIZMIE	152
8. CIERPIENIE	155
MITY OBJAŚNIAJĄCE	159
DLACZEGO? BÓG WIECZNEGO STWARZANIA	166
BÓG HIOBA	169
BÓG JEZUSA CHRYSYUSA	172

Wprowadzenie:

REFLEKSJA NAD PEWNIKAMI

Tak wiele we mnie pytań bez odpowiedzi,
 boję się je ujawniać z powodu bluźnierstwa.
 Boże, jeśli jesteś – przebacz mi, proszę.
 Gdy próbuję wznosić me myśli ku niebu –
 jest we mnie tak głęboka pustka, iż te
 same myśli wracają jak ostre noże
 i ranią samo sedno mej duszy¹.

MATKA TERESA

„Mówi głupi w swoim sercu: ‘nie ma Boga’” (Ps 14,1). Z drugiej strony, ktokolwiek uważa, że nigdy się nie wahał, aby w pełni oddać się Bogu, o którym część bardzo, bardzo inteligentnych ludzi twierdziła i nadal twierdzi, że nie istnieje, nie odznacza się bystrością umysłu.

Kilka lat temu prowadziłem zabawną korespondencję e-mailową z kobietą, paleoantropologiem, autorką świetnej powieści futurologicznej, w której, z dużą wprawą, zmagająca się z wieloma pytaniami dotyczącymi Boga. Wobec tego wysłałem jej rozdział z książki, którą sam napisałem, dotyczący spostrzeżeń, jakie może mieć przeciętnie wykształcona osoba na podstawie wiedzy naukowej, szczególnie biorąc pod uwagę celowość, która wydaje się wyłaniać z zamysłu tak wielkiego jak wszechświat. To był mój błąd. Kobieta zripostowała,

¹ Matka Teresa z Kalkuty, cytowana w artykule Davida Van Biema, *Kryzys wiary Matki Teresy* (Mother Teresa's Crisis of Faith), „Time”, 23 sierpnia 2007, 39-40.

iż powinienem pozostawić takie pytania ludziom, którzy wiedzą, o czym mówią, „ludziom z akademickimi tytułami”. Od tego czasu odczuwam wstyd z powodu mojego tupetu. Pomysł obecnej książki zakiełkował we mnie, gdy w związku z tym postanowiłem zmniejszyć moją ignorancję, przynajmniej do pewnego znaczącego stopnia, i ustalić ostatecznie (choćaby dla mnie samego), że istnieje jeszcze zagadnienie, które można bardziej zgłębić. Z całą pewnością jest nim Bóg, który zaskakiwał nawet Tomasz z Akwinu.

Na początek kilka cennych konkluzji, co do których nie mam najmniejszych wątpliwości. Pierwsza to: „Wszyscy umrzemy”. Druga brzmi: „Cegły zrzucone z okna spadną”. Prawie wszystko inne mieści się w zakresie od: „Dobrze, nie mam już *prawie* żadnych wątpliwości” aż do: „Daj mi spokój, dobrze?” – przy czym ilość tych sformułowań gwałtownie wzrasta, gdy poruszymy się od jednej strony ku drugiej. „To można kupić – to jest kariera dla mnie – oto współmałżonek na całe życie”, wszystko to brzmi bardzo niepewnie. Woda zawsze będzie zamarzała w 0°C – *pod warunkiem*, że nikt ukradkiem nie doda do niej antyzamarzacza. „Jutro się zbudzę”. Tak, bardzo liczę na to. Istnieje prawdopodobieństwo, że Sokrates nigdy nie istniał; wszystko, co wiemy o nim, pochodzi od Platona i jego przyjaciół. Kto mówi, że można wierzyć książkom historycznym? Czy nie oglądaliście *Matrixa*?

Trochę niepewności jest potrzebne, aby podjąć niemal każdy poważny problem. Co więcej, unika się wtedy grzechu bluźnierstwa (nawet gdy czyjś pewnik domaga się bezkompromisowego poparcia Kościoła), ponieważ absolutna pewność jest przywilejem jedynie Boga. Św. Piotr, pierwszy papież, przyznał publicznie, że mylił się kompletnie co do dwóch elementów wiary chrześcijańskiej, o których myślał, że są ostateczne: obrzezanie i żydowskie prawa związane z jedzeniem (Dz 2,41; 10,9-16; 44-48; 15,13-22). Święty Paweł, pierwszy po Jezusie, który interpretował jego przesłanie (nawet przed napisaniem Ewangelii), był całkowicie przekonany co do swej roli przesładowcy chrześcijan: „obrzezany w ósmym dniu, z rodu Izraela, z pokolenia Beniamina, Hebrajczyk z Hebrajczyków,

w stosunku do Prawa – faryzeusz, co do gorliwości – prześladowca Kościoła, co do sprawiedliwości legalnej – (...) bez zarzutu” (Flp 3, 5-6). Dopóki sam Jezus nie zastąpił mu drogi, gdy udawał się do Damaszku (Dz 9).

Zwykle zapominamy, że nawet wiara *Jezusa* była poddana próbie! („Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” [Mt 27,45]). Zamia-ry Boga są najwyraźniej ukierunkowane na rozwój i wzrost, przy czym wątpliwość wydaje się być warunkiem wstępnym wypełniania woli Bożej, gdyż wątplenie jest pragnieniem uzyskania lepszych odpowiedzi niż te, które dotychczas otrzymaliśmy.

Matka Teresa z Kalkuty – prawdopodobnie jedyna osoba w historii beatyfikowana za powszechną zgodą wiernych (nawet niewierzących) na całym świecie – przez ostatnie pięćdziesiąt lat swego życia była codziennie nękana wątpliwościami! (Rozdział 1).

Oto dwa podstawowe pytania, które stają przed każdym z nas: (1) Kim jestem? oraz (2) Gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce? Kim jest ta osoba kryjąca się pod „ja”, ogołocony ze wszystkich oddziaływań, których sam nie wybierałem? Co jest moją wartością i moją misją pośród sieci oplatających mnie zależności, sięgających w moją rodzinę, sąsiedztwo, pracę, naród, całą rodzinę ludzką, tajemniczy wszechświat i, w co wierzę, poza niego – w życie w Trójcy Świętej?

Wiele z tego, kim jest każdy z nas, wynika z naszego podobieństwa do zwierząt, lecz, co ważniejsze, także ze sposobów i możliwości, które wyróżniają nas od wszystkich pozostałych stworzeń: zdolności rozumienia i empatii. Możemy uczyć się od naszych przodków, którzy w ciągu trzech tysięcy lat posiadli dostateczną umiejętność formułowania swojej wiedzy pod postacią ksiąg zarówno liturgicznych, jak i świeckich, a więc nie musimy szukać *wszystkiego* po omacku, dzięki czemu zaoszczędzimy sobie paru guzów. A pytanie: Kim jestem? – oznacza również, że Bóg stworzył nas po to, abyśmy pozostawali zawsze niespokojni. Nieoczekiwane wyzwania wbudowane w nasze życie dowodzą, że Bóg nie chce, abyśmy zbyt długo trwali w poczuciu rozumienia nawet własnej duszy (Rozdział 2).

Drugie pytanie – gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce? – jest w rzeczywistości poszukiwaniem *mitu*, *podania*, wycuciem ogólnie przyjętego spójnego odniesienia, na tle którego można odnaleźć znaczenie i sens pomimo nieoczekiwanych trudności. Potrzebujemy poczucia, że nasze życie posiada raczej jakąś fabułę, niż że jest przypadkowym zlepkiem „tego, co mi się przydarzyło, a następnie czegoś tam jeszcze, i czegoś tam jeszcze”. Nie możemy trwać długo w krajobrazie malarstwa Salvadora Dali, gdzie brakuje stałych punktów odniesienia, którymi są „dom” i „rodzina”. Podobnie jak Jasia i Małgosię musiano nas wypchnąć z gniazda, byśmy mogli odkryć nasz własny „dom” (Rozdział 3).

Zanim podejmiemy próbę zbadania rdzenia chrześcijańskiego mitu, to pojawiające się po drodze oboczne pytania mogą także przysporzyć wiele wątpliwości. Naczelnym dowodem potwierdzającym prawdę są księgi Pisma Świętego. Inni powiedzą, nie bez racji, że również Kościół jest potencjalną gwarancją tej prawdy. Jednakże wiarygodność twierdzeń Kościoła zależy od wcześniejszej wiarygodności tychże ksiąg. Niektórzy wykształceni ludzie uważają, że owe księgi są, od początku do końca, tylko prymitywnymi opowieściami, które nieumiejętnie tworzą zasadniczy mit zrozumiały dla prostaków. Jak prawdziwe, a raczej, jak niezawodne są te księgi? Ciągłe naburmuszony Jahwe? Suchy kanion otwierający się w Morzu Czerwonym? Chodzenie po wodzie? Wypędzanie złych duchów? Nawet po angielsku te księgi zaskakują tak jak dzieła Szekspira. Również cztery Ewangelie różnią się między sobą. Dlaczego – jeśli każdą z nich rzekomo „natchnął” ten sam Bóg? Co więcej, obecnie mówi się, że wszystkie te Ewangelie zostały napisane przynajmniej jedno pokolenie po opisywanych w nich wydarzeniach. Skąd wiem, czy nie są one bujną, jak żart P.T. Barnuma? Jak monoteistyczni Żydzi, tacy jak Tomasz, mogli powiedzieć do Jezusa: „Pan mój i Bóg mój” (J 20,28)? Gdy byłem dzieckiem i słuchałem tego po raz pierwszy, przyznaję, że łatwo można mnie było oszukać. Ale teraz nie jestem już tak łatwowierny (Rozdział 4).

Wszystko, co sobie przypominam z mojej praktyki chrześcijańskiej z lat młodości, wydaje się sprowadzać do „czynienia dobra i unikania zła”. Bądź życzliwy dla tych, którym się mniej w życiu poszczęściło, nie dokuczaj nikomu i zbyt nie dogadaj sobie w *niczym* (szczególnie unikaj seksu). Czy za to wszystko powiesili Jezusa? Za Jego starania, aby uczynić nas dobrymi i „nie-złymi”? Czy dążenie do osiągnięcia tych celów czyni przyzwoitych ateistów chrześcijanami? Jeśli chrześcijańska Dobra Nowina nie porusza cię, to tak naprawdę wcale jej nie rozumiałeś.

Istota tego, co kryje się pod słowem *chrześcijanin*, jest wyraźnie widoczna w przypowieści o synu marnotrawnym, w Błogosławieństwach, w Ostatniej Wieczerzy, w opisie Jezusa o Sądzie Ostatecznym oraz przede wszystkim w Zmartwychwstaniu. Jezus poniósł śmierć, ponieważ gdyby tak się nie stało, to nie mógłby powstać z martwych, „a jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara” (1 Kor 15,17). Jakież to proste. A czy rzetelne jest nasze świadectwo, aby to potwierdzić? Jakkolwiekby Jezus nie wzywał nas słowem i czynem do naśladowania, jesteśmy uzależnieni od tych dwóch prawd. To one sprawiają, że rozumny chrześcijanin jest gotów świadczyć miłość, nawet wtedy gdy „nic z tego nie będzie miał” (Rozdział 5).

Być może źródło trudności w zaakceptowaniu Kościoła katolickiego tkwi w samym Kościele. Niemało z nas żywi w różnym stopniu być może nawet nieświadomiony gniew na instytucję, którą postrzegamy jako patriarchalną, traktującą nas z lekceważeniem, nazbyt uczoną i bezdusznie podzieloną. Przede wszystkim należy zadać pytanie, czy religia powinna być zorganizowana? Jeśli słowo *religia* oznacza „połączenie”, to mogą łączyć się z Bogiem na przykład w lesie. Także mądrzy brokerzy wiedzą, że kiedy kierownictwo firmy jest wewnętrznie skłócone, nie należy inwestować. Kościół jest tak przepełniony antagonizmami, że aż dziw bierze, iż do tej pory nie eksplodował. Co więcej, od ostatnich dwustu lat zorganizowany rzymski Kościół katolicki jest bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialny za okrucieństwa, nad którymi Jezus zapłakałby rzewnymi

łzami. Jak może dobre drzewo dawać tak zdradliwe owoce? Na koniec jeszcze jeden zarzut (choć istnieją o wiele mocniejsze zarzuty, jakkolwiek nie tak rażące): każdy kto ma choć minimalne pojęcie o uczciwej miłości i seksualności oraz pewne doświadczenie życiowe miałyby opory w zaakceptowaniu instytucji, która konsekwentnie i stanowczo orzeka, że seks pomiędzy rodzicami stosującymi sztuczną kontrolę urodzeń zrywa *ipso facto* ich relację z Bogiem Ojcem (Rozdział 6).

Nawet najbardziej niedoskonałe odpowiedzi na wszystkie te pytania mogą zadowalać „zwykłych zjadaczy chleba” – ten rodzaj ludzi, o których śp. Leona Helmsley powiedziała, iż są jedynymi, którzy płacą podatki. A co z tymi z nas, którzy co tydzień czytają „Newsweeka” i „New York Times Magazine” i rozwiązują krzyżówkę atramentem, bez sięgania do słownika?; „ludzi ze stopniami naukowymi”, którzy mogą (mniej lub bardziej) zgłębiać artykuły napisane przez mocno wyedukowanych i elokwentnych ludzi, takich jak Richard Dawkins, Christopher Hitchens, Sam Harris czy Carl Sagan, którzy przejawiają trochę więcej tolerancji dla całych tych gadek o Bogu niż jakiś łagodny szyderca (a jak często jakieś czasopismo na poziomie wyższym od „The Reader’s Digest” proponuje artykuł w stylu *Dlaczego naukowiec wierzy w Boga?...*). Niewątpliwie, ci dobrze wydający się ateści są *o wiele* sprytniejsi niż ktoś kto złapał nas na haczyk wiary, nie mówiąc już o chrześcijaństwie czy katolicyzmie. Czyż ten, kto sądzi, iż jest dobrze wykształcony, nie powinien przynajmniej z lekka poczuwać się do wychwalania jakiejś niewidzialnej Osoby i wyznania Jej swoich grzechów? (Rozdział 7).

Wreszcie argument przeciwko Bogu, który brzmi jak nokaut: jak Bóg mógł dopuścić... Dla chwiejnego w wierze fakt niezasłużonego cierpienia może stać się atutem. Jak ten rzekomo dobry Bóg mógł pozwolić na istnienie świata, w którym cierpią niewinni? Jakżeż ten nawet dość inteligentny Bóg mógł pozwolić na wolność tak niedostatecznie wykształconemu gatunkowi małp? Czy jest coś, co może wyjaśnić, dlaczego istnieje niezasłużone cierpienie i co mogłoby je wytłumaczyć? Jeśli utrzymujemy, że wierzymy w Boga, który jest

Miłością, to dlaczego jest tak, że dopiero poszukiwanie sensu niezawinionego cierpienia zwraca nas ponownie ku Bogu, który jest mściwy – nie tylko z powodu naszych grzechów, ale i z powodu zaraźliwej choroby, która dotyka wszystkie dzieci w rodzinie?

Udziel mi choć odrobinę zadowalających odpowiedzi na te pytania, a zaryzykuję uwierzyć.

1

POTRZEBA PEWNOŚCI

Wiara to wielki wykręt, wielka wymówka
 uchylania się od potrzeby myślenia i oceny dowodu.
 Wiara jest przekonaniem wbrew, a czasami nawet ze względu na
 brak dowodu ...

Wiara, bycie wierzącym, bez oparcia się na dowodzie,
 jest zasadniczą wadą każdej religii².

RICHARD DAWKINS

„Kocham ciebie całym sercem!”

„Udowodnij to!”

„No dobrze, yyyy ...”

Jak można *udowodnić* miłość? Jak można przekonać kogoś, że to co się głosi, jest niezawodnie prawdziwe, choćby nawet nie było widoczne, namacalne czy możliwe do zmierzenia? Jak być na tyle wyrazistym, aby rozmówca musiał uznać ten nieuchwytny fakt za bezdyskusyjny? Zaakceptowanie czyjejś śmierci jest konkretnym dowodem, wykluczającym dalsze relacje. Dar płci jest jednym z najbardziej wrażliwych aktów, jakie jeden człowiek może ofiarować drugiemu. Jednak ludzie wykorzystywali seks jako okazyjne zdarzenie lub cyniczną sztuczkę czy broń o wiele wcześniej, zanim dostawali za to pieniądze. „Och, poświęciłem *wszystko* dla ciebie bez zatrzymywania *czegokolwiek* sobie. Lecz *daleki* jestem od tego, aby ci przypominać, jak wiele mi zawdzięczasz!”. I z obu stron jest wielu biednych, ponurych głupców, którzy rzeczywiście przyjmują to jako dowód!

² Richard Dawkins, *Czy nauka jest religią?*, „The Humanist”, 57 (1997), 26-29.

Zdecydowana większość tego w co wierzymy, po prostu *nie* opiera się na gruntownych badaniach wszystkich dostępnych dowodów prowadzących do ostrożnego, osobiście wypracowanego wniosku. To co nazywamy *moimi* opiniami, w większości pochodzi z drugiej ręki, od rodziców, kumpli, pośredników, nauczycieli. Przyjmujemy na wiarę, że informacje w codziennych gazetach, czasopismach, wiadomościach nie są zmyślane, skoro są wydawane. Osobiście nie mogę potwierdzić, że łańskie dyplomy w gabinecie mojej pani doktor nie mówią „Bądź ostrożny!” i wierzę jej na słowo, gdy mówi, że istnieje przyczyna, dla której muszę być poddany operacji. Nigdy nie byłem w Chinach, lecz przyjmuję na wiarę, że nie ma tu zmowy kartografów, którzy mają jakieś ukryte plany. Przyjmuję zdroworozsądkowo, że ślady stóp na Księżycu, które wszyscy widzieliśmy, nie zostały wykonane w hollywoodzkim studio. Bomby atomowe i wodorowe przekonują mnie, iż istnieją pewne realia, których po prostu nie mogę bezpośrednio doświadczać.

Nawet przekonani i wyrobieni ateści, tacy jak Sam Harris i Richard Dawkins manifestują godną podziwu wiarę, której są najwyraźniej nieświadomi. Harris oznajmia, że po odkryciu korzeni szczęścia w naszym mózgu „zaistnieją wszelkie dowody, aby wierzyć”, iż wszystkie systemy etyczne można będzie uzasadnić jedynie przemianami elektrochemicznymi. Dawkins pisze: „przekonania naukowe opierają się na dowodach i przynoszą wyniki. Mity i wierzenia nie mają oparcia w dowodach i nie przynoszą wyników”. To w dużym stopniu zaprzecza różnicom pomiędzy Tomaszem Morusem a Henrykiem VIII.

Zbyt często ludzie przedstawiają wiarę jako „ślepy skok w ciemność”, co jest czystym idiotyzmem. Danie 10 tysięcy dolarów domokrądcy, który oferuje działki budowlane na Florydzie to ślepy skok w ciemność. Ślub z siostrą kolegi z pokoju w akademiku, której się nie widziało, to jest skok w ciemność. Postawienie pensji miesięcznej na konia o imieniu swojej matki jest również skokiem w ciemność. Co więcej, kiedy większość ludzi mówi: „Dobrze, ja tylko biorę to

na wiarę”, w rzeczywistości znaczy to: „Nie wiem, OK? Odczep się ode mnie!”.

Dajemy dzieciom poufne rady: „Nigdy nie bierz cukierków od nieznanymych... jedz warzywa... narobisz sobie kłopotów, panienko!”. Nie mamy szczególnego wglądu w przyszłość, a większość z nas ma jeszcze niezagojone urazy z przeszłości. Nasze dotychczasowe doświadczenie życiowe stwarza wystarczające podstawy do przewidywania prawdopodobnych rezultatów. Nie pewność, ale niezawodnie wysoki stopień przekonania. Jeśli oczekujemy werdyktu sądowego, co najwyżej możemy mieć nadzieję na decyzję „bez żadnej *uzasadnionej* wątpliwości”. Jeśli zapytamy naukowców o „niepodważalny dowód”, to zawsze odpowiedzą z „bardzo dużym prawdopodobieństwem”. Pytanie o coś bardziej pewnego staje się (niechcący) bluźnierstwem. Tylko Bóg posiada wszelką pewność.

Teologią jest to, co *wiemy* o sprawach Bożych; wiarą to, że *uznajemy* za prawdziwe to, co znamy; religią jest to, co *czynimy* względem tego, w co, twierdzimy, wierzymy. A to co czynimy bardziej wskazuje na naszą wiarę niż to, co o niej mówimy. Mogę znać (ze szkoły, kazań, lektury) stanowisko Kościoła wobec sztucznej regulacji poczęć, ale biorąc pod uwagę moją wiedzę z zakresu biologii, psychologii i historii nauczania w tej kwestii mogę mieć uczciwe wątpliwości. A jednak moje doświadczenie jest następstwem mojej szczerzej, racjonalnej wiary. Co więcej, mogę wiedzieć, że Kościół potępia aborcję i (nawet jeśli różni się co do pewnych kwestii, np. godzinę po zgwałceniu) bezwzględnie akceptuję, że aborcja to bez wątpienia zabijanie „istoty ludzkiej”. Lecz gdyby moja niezamężna córka zaszła w ciążę, to moje szczerze przekonania i wiara mogłyby zostać wystawione na zbyt ciężką próbę. Oto, do czego służy sakrament pojednania – oto to, czego uchwycił się św. Piotr nawet po skazaniu Jezusa, a do czego Judasz nie był zdolny.

Rzeczywisty problem wiary u ludzi w średnim wieku polega na tym, że ich wiedza dotycząca Boga ogranicza się, szczerze mówiąc, do tego, co przyswoili sobie w ciągu lat szkolnych lub nawet wcześniej. Od tamtej pory ich głód wiedzy skupiał się raczej na kwestiach

dotyczących pracy, rodziny czy przetrwania finansowego. Wskutek tego ich wiara jest często słaba lub nawet (może za wyjątkiem anty-koncepcji) bez osobistego doświadczenia, na poziomie nastolatków czy dzieci. Być może fakt ten wprawia w zakłopotanie, lecz o ile nie zaakceptujemy tej szczerzej prawdy, to wpadniemy w kręgi ułudy.

CZYJA PRAWDA?

Według Sokratesa pierwszym krokiem w kierunku prawdy jest pokora. Prawda istnieje bezspornie „gdzieś poza”, niezależnie od mojego subiektywnego jej ujęcia. Rzeczywistość mówi mi, czym jest i w jaki sposób mogę z niej korzystać – nie na odwrót. Pomimo tego, że kiedyś wierzono, iż ziemia jest płaska, nasza planeta nie dostosowała się do tej opinii. Jesteś wolny i możesz traktować dżin jak piwo, lecz prędzej czy później „rzeczywistość” wykaże błąd. Jeśli tak zdecydujesz, to możesz wyskoczyć z chicagowskiego wieżowca Sears Tower. Lecz tylko raz.

Akt wiary jest *przekonaniem*. Widzieć to nie znaczy wierzyć, to znaczy *wiedzieć*. Wiara jest uznaniem czegoś za prawdziwe bez jednoznacznej pewności – to przekonanie oparte na obiektywnym dowodzie (zewnątrznym, niezależnym ode mnie) i uczciwym rozumowaniu (nieskażonym uprzedzeniami, pragnieniami, warunkami wstępnymi, propagandą, byle jakim myśleniem), bez pretensji do całkowitego zamknięcia się. Jest rzeczą pewną, że nikt nie użyłby twierdzenia „moim zdaniem” gdyby nie było ono jak najbardziej zbliżone do prawdy obiektywnej. Przeważnie najszczerszą odpowiedzią na pytanie o czyjąś opinię jest: „W tym wypadku tak naprawdę nie mam jednoznacznego zdania”. Lecz nikt nie lubi okazywać się niezdecydowanym.

Pierwszym krokiem do pewności swoich przekonań jest *doświadczyć zmysłami* (zobaczyć, usłyszeć, dotknąć, powąchać, posmakować) to, co rzeczywiście istnieje, czyli uzyskać dowód. Przykładowo, poezja nie jest testem Rorschacha: jak to należy rozumieć? Raczej oddaje

to, co *poeta* próbuje nam przekazać, a nie jakie to wywołuje myślenie. Jeśli zapomniałeś okularów, to twoja opinia o Wenus z Milo nie jest wiele warta. Jeśli uważasz, że Jezus gardził zamożnymi ludźmi lub że Bóg jest im niechętny, to błędnie odczytałeś Ewangelię. Każdy przeciętny człowiek ma swoje zdanie o dobrobycie, homoseksualizmie, Kościele czy też o tym, kto powinien zostać prezydentem, ale nie zaryzykowałbyś żadnej kwoty wobec tego, kto uczciwie zbadał te zagadnienia.

Drugi krok to ocenić i sklasyfikować to, z czym się spotkaliśmy, prawidłowo „zmagazynować”. Jakim rodzajem bytu (istnienia) jest to coś – zwierzęciem, rośliną, minerałem? Ono mi to mówi. Patolog sądowy może stwierdzić niezawodnie, czy płód jest ludzki czy szympansa. Jeśli atomy w danym roztworze są w stosunku do siebie jak dwa wodory do jednego tlenu, to wiem, że jest to woda; jeśli ten stosunek jest jak dwa do dwóch, oznacza to nadtlenek wodoru. Mogę go, tak jak wodę, bezpośrednio pić, lecz później wypluję – czy mi się to podoba czy nie. Jeśli zobaczę na ulicy zataczającą się kobietę, mogę domyślać się, że jest pijana. Lecz jeśli ona okaże się być epileptyczką, to już jest zasadnicza różnica. Nie mogę uznać chłopaka za ofermentę tylko dlatego, że widziałem go niezdarnie rzucającego piłką baseballową.

Trzeci krok to ułożyć wszystkie najlepsze, starannie przeanalizowane dowody w logiczny ciąg (zarys) ukazujący powiązania pomiędzy poszczególnymi częściami, segregując zasadnicze kwestie według hierarchii ważności i potwierdzając każdą z nich dowodem. Mówiąc wprost: jeśli nie wiesz, jak przedstawić w zarysie, to nie wiesz, jak myśleć. (Aby ocenić wartość mozolnie ułożonego zarysu, rozważ ostatnio usłyszaną homilię komponowaną według zasady „układam ją na bieżąco”).

Czwarty krok to sformułowanie chwilowo zadowolającego wniosku – własnej opinii otwartej na poprawki (jak to powinno być w przypadku każdego innego etapu tego procesu).

Na koniec, o ile jesteś roztropny, przedstawiasz do oceny swoje przekonanie komuś, kogo zdanie szanujesz.